LOKALNIE · OPINIA

PIS MENTALNIE UGRZĄZŁ W 2015 ROKU

Jan Fiedorczuk · 19 lipca 2023

Na trzy miesiące przed wyborami PiS znalazł się w ewidentnej defensywie. Jeżeli spojrzymy na całą drugą kadencję Zjednoczonej Prawicy, to dostrzeżemy, że większość strategicznych projektów, które miały budować poparcie dla rządu, kończyła się fiaskiem. Nie potrafiąc przejąć inicjatywy, rządzący próbują zatem odgrzewać stare sprawdzone patenty. Problem Kaczyńskiego polega na tym, że mamy rok 2023, a nie 2019 czy 2015.

Teoretycznie PiS nadal w sondażach utrzymuje przewagę nad drugą w zestawieniach Koalicją Obywatelską, jednak ta przewaga topnieje z każdym dniem. Formacja, która jeszcze niedawno rozdawała karty, musi co chwila zerkać przez ramię, z obawą wyglądając nadciągającego przeciwnika. Co więcej, nawet ewentualne zwycięstwo wyborcze nie gwarantuje utrzymania władzy.

Nerwowa sytuacja zaczęła udzielać się działaczom i sympatykom rządzącego obozu. – PiS przespał kilka ważnych momentów, przede wszystkim nie zareagował w żaden sposób na marsz 4. czerwca – stwierdził niedawno doradca prezydenta i były rzecznik PiS Marcin Mastalerek. – 4 miesiące do wyborów, PiS jest w defensywie i powinien sobie jasno powiedzieć: tak, popełniliśmy błędy, a ciężko to się w PiS-ie mówi – kontynuował.

Nie był jedynym, który dostrzegł powracające problemy formacji Kaczyńskiego. Adam Bielan wprost zganił własny obóz: – Wszyscy chyba zdajemy sobie sprawę, że kampanią z roku 2015 nie wygramy wyborów w 2023.

Obie wypowiedzi okazały się niezwykle celne i wzbudziły ożywioną reakcję ówczesnego szefa sztabu PiS Tomasza Poręby. „Spece od PRu: Adam Bielan, autor przegranej kampanii z 2007 r., opuszczający PiS po katastrofie smoleńskiej, twarz ciągnących w dół niejasności wokół NCBR oraz »tu jestem, tu jestem« Marcin Mastalerek. Na aucie ostatnich wygranych kampanii PiS. Niezłe kombo" – napisał Poręba w mediach społecznościowych. Wywołany do tablicy Mastalerek odparł jedynie: „Pycha kroczy przed upadkiem. Dokładnie tak zachowywała się Platforma Obywatelska w 2015 roku".

CZYTAJ TAKŻE: Lekka ręka prezesa. Jak Kaczyński zmienił system III RP

Marsz Tuska, sukces PiS?

Sam Poręba wkrótce zrezygnował z funkcji szefa sztabu na rzecz Joachima Brudzińskiego. Ta podmianka znamionuje dwie sprawy: po pierwsze kampanijna ofensywa PiS nie przynosiła oczekiwanych rezultatów; po drugie przejęcie sterów kampanii przez Brudzińskiego zwiastuje radykalizację partyjnego przekazu.

Do dymisji Poręby doszło dwa tygodnie po słynnym marszu Donalda Tuska z 4. czerwca. I tu warto się na

chwilę zatrzymać nad reperkusjami tego zdarzenia. Po prawej stronie (choć nie tylko) sporą popularność zyskała teoria, że manifestacja Tuska była w rzeczywistości sukcesem nie tyle samej PO, co raczej PO-PiSu jako pewnej formacji systemowej. Tak jak Tusk nie istnieje bez Kaczyńskiego, tak samo PiS nie istnieje bez swego arcywroga – Tuska. Obie partie napędzają się wzajemnie, a im więcej wyborców jest wtłoczonych w ten dychotomiczny podział sceny politycznej, tym lepiej dla dwóch największych graczy. Prawdziwym niebezpieczeństwem jest pojawienie się zatem „trzeciej drogi", czyli środowiska, które odmawia grania według systemu PO-PiS i działa niejako „z boku" tego podziału.

Dlatego marsz Tuska miał w rzeczywistości działać również na korzyść Kaczyńskiego – mimo że budował PO, to jednocześnie, paradoksalnie, zmniejszał prawdopodobieństwo przejęcia władzy przez opozycję lewicowo-liberalną, gdyż partie mniejsze, Trzecia Droga i Lewica, zaczęły w sondażach orbitować niebezpiecznie blisko progu. Gdyby któraś z tych partii nie weszła do Sejmu, to sukces PiS byłby niemal pewny. Gdyby jednak obie wypadły z parlamentarnej układanki, to Kaczyński mógłby nawet liczyć na powtórkę z 2015 roku i samodzielne rządy.

Ta koncepcja jest moim zdaniem słuszna, ale pomija istotny czynnik – możliwość „mijanki" w poparciu PO i PiS. Formacja Kaczyńskiego od 2014 roku, niemal od dekady, górowała w sondażach nad Platformą Obywatelską. W ostatnich miesiącach, a szczególnie po marszu, różnica w poparciu między partiami stopniała do zaledwie 3-4 pkt. proc. To na tyle niewielka różnica, że nie sposób dłużej zakładać bezalternatywnego sukcesu PiS. Manifestacja 4. czerwca była zatem opłacalna dla Kaczyńskiego, ale tylko przy założeniu, że jego formacja utrzyma dotychczasową przewagę nad PO. Jeżeli jednak Tusk wyprzedzi PiS, to cały plan spali na panewce. A system D'Hondta przekaże premię Platformie.

Marazm w drugiej kadencji

Problemy Prawa i Sprawiedliwości nie zaczęły się jednak wraz z marszem Tuska, nie sięgają nawet roku wyborczego. Jeżeli spojrzymy z odpowiedniej perspektywy, to dostrzeżemy, że właściwie cała druga kadencja rządów PiS przebiega pod znakiem nieustannej szarpaniny – z koalicjantami, z Unią, z opozycją, z USA, z własnym elektoratem. To zauważalna zmiana w porównaniu z latami 2015-2019. W pierwszej kadencji formacja Kaczyńskiego, owszem, również toczyła ciężkie boje, a rządy trwały od jednej awantury do drugiej, ale te wszystkie potyczki jedynie umacniały pozycję PiS. Spór z sądami oraz Unią Europejską był niezwykle medialny, ale paradoksalnie wpływał mobilizująco na elektorat Zjednoczonej Prawicy. Jeszcze lepiej to było widać na przykładzie debaty wokół 500 plus, które to świadczenie przez całe lata było na celowniku liberalnych, wielkomiejskich środowisk, co jedynie budowało PiS i umacniało wizerunek partii jako obrońcy ludu przed zgniłymi elitami. Jednocześnie sam obóz Zjednoczonej Prawicy pozostawał zwarty i gotowy do kolejnych wyzwań, jadąc niczym taran po politpoprawnym systemie stworzonym przez ćwierćwiecze III RP.

> Zarządzanie przez kryzys przyniosło pozytywne rezultaty i PiS w 2019 roku uzyskał rekordowe poparcie oraz drugą kadencję. Tutaj jednak zaczęło się wszystko komplikować, gdyż o ile w pierwszej kadencji to PiS wyznaczało pola bitew i było reżyserem wydarzeń, o tyle teraz stało się reaktywne – musiało odpowiadać i dostosowywać się do zastanych warunków. Dwa najbardziej oczywiste przykłady to pandemia oraz wojna na Ukrainie.

Z kolei pole bitwy, które obóz władzy dobrowolnie wybrał – kwestia aborcji – odcięło już na dobre PiS od młodego elektoratu. Z drugiej strony to zagranie wytrąciło z rąk Zbigniewa Ziobry oraz Konfederacji argument dot. pisowskiego pseudo-katolicyzmu, jakim szermowano od lat i który niewątpliwie powróciłby w 2023 roku. Nawet jednak bez tematu aborcji Kaczyński musiał zmagać się z szeregiem problemów, które sam generował. Mowa tutaj między innymi o piątce dla zwierząt i reperkusjach w postaci dymisji ministra Ardanowskiego, medialnym cyrku z wicepremierem Jarosławem Gowinem, który przez pół kadencji wychodził z rządu oraz niekończącej się awanturze na linii Ziobro-Morawiecki ws. Unii Europejskiej. Jakże różny to obraz w porównaniu z latami 2015-2019.

I tutaj dochodzimy do wydarzeń sprzed kilku tygodni, gdy Jarosław Kaczyński zdecydował się ponownie wejść do rządu, jednocześnie dymisjonując wszystkich wicepremierów. Prezes PiS po pierwsze chce oczywiście dopilnować, aby na ostatniej prostej nie doszło do żadnych wewnętrznych tarć w rządzie. Zresztą niedawna konwencja w Bogatyni, gdzie na scenie obok premiera wystąpił Zbigniew Ziobro, sugeruje, że politycy tymczasowo zakopali topór wojenny i zapadła decyzja o tworzeniu wspólnych list. Ostatnim akordem sporu był bodaj wywiad, jakiego minister sprawiedliwości udzielił Karolowi Gacowi dla *Do Rzeczy*, gdzie przekonywał, że Morawiecki „mylił się we wszystkich unijnych decyzjach". Poza tym dymisjonując wszystkich wicepremierów, Kaczyński pokazał, iż nikt w partii nie jest nietykalny, a nadchodzące wybory należy traktować poważnie.

CZYTAJ TAKŻE: Noc teczek – największy mit III RP?

Ofensywa, której nie ma

Wejście Kaczyńskiego do rządu wydaje się być również następstwem tuskowego marszu z 4. czerwca. Podbijając temperaturę sporu za pomocą komisji ds. badania rosyjskich wpływów w Polsce, PiS co prawda umocnił duopol największych formacji, spychając pomniejszych graczy na margines (z wyjątkiem Konfederacji), ale jednocześnie jednak nie docenił rozmachu, jaki przybierze sama manifestacja.

Marsz Tuska nie przypominał dotychczasowych rachitycznych happeningów opozycji. Olbrzymi sukces frekwencyjny to jedno, ale marsz udowodnił, że opozycja odrobiła lekcję z protestów Marty Lempart. Podczas tzw. strajku kobiet Platforma i Lewica wesoło poparły Lempart z całym dobrodziejstwem jej inwentarza – dewastacją kościołów, rynsztokowym językiem etc. Na jednym z nagrań, które swego czasu krążyły po internecie, było widać, jak Lempart dosłownie wydaje rozkazy posłom opozycji. Sytuacja kuriozalna i kompromitująca dla polityków. Tym razem nic takiego nie miało miejsca. Nawet jeżeli zdarzały się jakieś gorszące momenty, to stanowiły one margines. Kolejnym istotnym aspektem jest fakt, iż manifestacja dała Platformie wiatr w skrzydła i napełniła wiarą, że zwycięstwo wyborcze jest na wyciągnięcie ręki. Takiej wiary w siebie PO nie miała co najmniej od ośmiu lat, a być może jeszcze dawniej.

Najważniejsze jest jednak to, na co zwrócił uwagę cytowany na początku tekstu Mastalerek – PiS nie miał żadnej odpowiedzi na ten marsz. O manifestacji wiedziano od kilku tygodni, a od co najmniej kilkunastu dni było wiadomo, że frekwencja będzie rekordowa. A mimo to kampanijna maszyna PiS-u po prostu spała, jak gdyby zapominając, że zaognienie sporu PO-PiS to dopiero pierwszy krok na drodze do sukcesu. Nie wystarczy, aby emocja duopolu pochłonęła wyborców, ale należy jeszcze doprowadzić do tego, żeby w ostateczności przechyliła się na korzyść Zjednoczonej Prawicy.

Brak zdolności do wyjścia z kontrpropozycją do PO znamionuje nie tylko ostatnie tygodnie, ale niemal ca-

łą drugą kadencję. Rządzący mieli zasadniczo dwa pomysły na przejęcie inicjatywy i narzucenie głównego tematu w wyborach. Pierwszym był Polski Ład autorstwa Mateusza Morawieckiego. Mimo że sam projekt na papierze nie wyglądał tak źle, jak to obecnie jest prezentowane, to wdrażanie go i machina medialna mu towarzysząca były po prostu fatalne. Zamiast sztandarowego projektu na miarę 500 plus, który dowiezie PiS do trzeciej kadencji, dostaliśmy serię kuriozalnych wpadek. W najlepszym razie Polski Ład pozostał dla 99 proc. wyborców niezrozumiałą fanaberią rządzących, w najgorszym – totalnym blamażem dowodzącym niekompetencji władzy w zarządzaniu państwem. Żeby sprawa była jeszcze bardziej skomplikowana, to projekt był prezentowany jako powiązany z unijnymi pieniędzmi (z pocovidowego Funduszu Odbudowy), z których Polska nie dostanie ani eurocenta, dopóki rządzi PiS.

Drugi projekt, który miał nadać ton kampanii, to oczywiście 800 plus, czyli waloryzacja słynnego programu „Rodzina 500 plus". Pisałem o tej sprawie rozlegle w poprzednim artykule na *Nowym Ładzie*, więc tutaj powtórzę jedynie, że pomijając już wszelkie inne kwestie związane ze zwiększeniem świadczenia, to ruch PiS-u oznaczał wprost przyznanie się do intelektualnej niemocy. Po ośmiu latach u władzy partia ma do zaoferowania jedynie to samo zagranie, które przedstawiła w 2015 roku.

Co gorsza, sondaże dowodzą, że obietnica waloryzacji świadczenia nie stała się żadnym „gamechangerem", nie nadała kampanii nowej jakości. Pierwsze sondaże po pojawieniu się obietnicy były wręcz niepokojące. Choćby z majowego sondażu SW Research przeprowadzonego na zlecenie *Rzeczpospolitej* wynikało, że ponad połowa badanych była przeciwna podnoszeniu świadczenia do 800 zł, a jedynie niecałe 35 proc. respondentów poparła pomysł PiS. Podobnie sprawa wyglądała w przypadku sondażu UCE RESEARCH dla Onetu (46 proc. przeciwnych vs 36 proc. za) czy Instytutu Badań Pollster dla *Super Expressu* (52 proc. przeciw vs 48 proc. za).

Jeszcze wymowniej prezentują się natomiast sondaże poparcia dla partii, z których wynika, że notowania PiS-u nie tylko nie wzrosły, ale w niektórych przypadkach zaczęły wręcz maleć (chociaż to akurat raczej efekt tzw. zużycia władzy niż obietnicy waloryzacji świadczenia).
„Rewolucja godnościowa", o której tak bardzo lubi mówić PiS, w 2015 roku oznaczała jednak coś innego, niż to jest obecnie prezentowane. Wówczas wyrastała ona z rzeczywistej emocji – poczucia buntu wobec Platformy Obywatelskiej czy też, mówiąc szerzej, całego liberalnego mainstreamu, jak również dogłębnego poczucia niesprawiedliwości względem projektu III RP. 500 plus było, owszem, bardzo ważnym komponentem tej retoryki, ale niewątpliwie nie można całej godnościowej narracji sprowadzić do jednego świadczenia. Zwłaszcza że w 2015 roku nikt jeszcze nie wiedział, czy będzie ono faktycznie wprowadzone ani w jakiej formie to nastąpi.

> Kaczyński rządzi osiem lat i przekonywanie Polaków o zaletach 500 plus jest po prostu wyrazem braku pomysłu na kampanię. Kto miał zostać zwolennikiem świadczenia, to już dawno nim został. Dla społeczeństwa 500 plus jest już prawem nabytym – czymś oczywistym. Doskonale zrozumiał to sam Donald Tusk, który jasno zadeklarował, że nie podniesie ręki na to świadczenie, a nawet zaczął domagać się jego natychmiastowej waloryzacji.

Imigranci nie wystarczą

Marcin Mastalerek w cytowanym na początku tekstu wywiadzie stwierdził, że jedynym tematem, na którym PiS może oprzeć kampanię, jest obecnie kwestia bezpieczeństwa. I jakby w odpowiedzi na te słowa Unia Europejska zdecydowała się kolejny raz wyciągnąć na światło dzienne kwestię imigrantów.

Wyczuwając „polityczne złoto", politycy Zjednoczonej Prawicy niemal od razu ruszyli do działania, zapewniając, że dopóki oni rządzą, dopóty Polska nie da sobie narzucić jakichkolwiek migrantów. Na ich korzyść świadczyło, że Platforma Obywatelska jest w tym temacie zupełnie niewiarygodna. Jakby tego było mało, pod koniec czerwca Francja stanęła w ogniu za sprawą fali zamieszek wywołanych przez mniejszości etniczne. Fakt, że byli to głównie francuscy obywatele, którzy całe życie spędzili nad Sekwaną, nie miał większego znaczenia. W medialnym odbiorze przekaz był jasny – imigranci palą Francję.

Jeszcze przed falą tych zamieszek PiS ruszył z ofensywą, proponując w temacie imigrantów rozpisanie ogólnonarodowego referendum. Z kolei połajanki ze strony eurokratów oraz groźby dotyczące kar za nieprzyjęcie migrantów jedynie umacniały pozycję władzy w polskim społeczeństwie.

Czy jednak ten temat może być punktem zwrotnym i dać PiS-owi odbicie w sondażach, windując go ponownie do granicy 37-40 proc.? Wydaje się być to bardzo wątpliwe. Po pierwsze – ponownie – mamy rok 2023, nie 2015. To, w czym PiS osiem lat temu brzmiał wiarygodnie, dzisiaj wcale nie musi działać na jego korzyść. Przez ostatnie lata to właśnie Zjednoczona Prawica pozwoliła na przyjazd do Polski setkom tysięcy imigrantów. Część zwolenników takiego rozwiązania liczyła po prostu na tanią siłę roboczą, część jednak mówiła o łataniu luki demograficznej i ratowaniu systemu emerytalnego imigrantami. Nawet nie uwzględniając uchodźców z Ukrainy, którzy w oczywisty sposób muszą być osobno liczeni, nie trudno zauważyć, że pod rządami Jarosława Kaczyńskiego Polska stała się jednym z najbardziej pro-imigranckich państw Zachodu. Jeżeli porównamy sobie etno-kulturową strukturę społeczeństwa sprzed dojścia PiS do władzy do obecnej sytuacji, to różnica jest diametralna. I to na korzyść Tuska.

Sednem sporu nie jest więc kwestia przyjmowania imigrantów, a jedynie sprzeciw wobec dyktatu Brukseli. Również ten aspekt jednak nasuwa spore wątpliwości, jeżeli uwzględnimy, że od ośmiu lat obok suwerennościowej, buńczucznej retoryki, PiS *de facto* coraz częściej kapituluje przed Unią, zgadzając się po cichu na federalizację Europy. Trudno więc w obecnej postawie nie dostrzec, iż sprzeciw rządu jest jedynie kampanijną zagrywką. Niewykluczone zatem, że elektorat, zmęczony dwuznaczną postawą PiS, nie zasili Konfederacji, która w temacie imigrantów oraz obrony suwerenności na unijnym polu ma „czyste konto".

CZYTAJ TAKŻE: Wszyscy antysystemowcy zawiedli. Czy Konfederacja będzie wyjątkiem?

Powtórka z 2015 roku

Z przestawionej powyżej analizy wynika, że PiS znalazł się w defensywie i nie potrafi znaleźć sposobu na ponowne przejęcie inicjatywy. Sprawa wygląda nawet jeszcze poważniej. Wydaje się, iż PiS nawet za bardzo nie wie, po co miałby ją przejmować – jaki temat narzucić, w jakim kierunku pójść. W 2015 roku PiS szło do wyborów z hasłem rewolucji godnościowej i buntu wobec liberalnej III RP; w roku 2019 Morawiecki przekształcił Zjednoczoną Prawicę w partię „ciepłej wody w kranie", obiecując wyborcom budowę polskiego państwa dobrobytu. Teraz mamy jednak rok 2023 i bunt wobec III RP jest przekazem zupełnie nietrafionym – po ośmiu latach to PiS jest partią systemu, to PiS odpowiada za kształt państwa i jego wszelkie niedostatki. W narracji rządzących dominują nieustanne odwołania do tego, co Donald Tusk powiedział 10 lat temu, cały czas spotykamy się z krytyką Leszka Balcerowicza albo wyśmiewaniem

hasła „pieniędzy nie ma i nie będzie” Jacka Rostowskiego – dla Polaków Anno Domini 2023 jest to zupełnie niezrozumiały przekaz. Tym bardziej trudno dzisiaj mówić o budowie „państwa dobrobytu”, skoro lata pandemii oraz kryzysu gospodarczego przeorały portfele Polaków.

Rządzący, nie mając żadnego przemyślanego planu działania oraz stojąc w obliczu wizerunkowej porażki Polskiego Ładu i braku pieniędzy z KPO, odwołują się kolejny raz do pomysłów sprzed lat. Są więźniami 2015 roku desperacko próbującymi znaleźć sposób na przejęcie inicjatywy. Obecny kryzys nie jest jednak wynikiem jednego potknięcia czy braku przemyślanego planu kampanii. To efekt całych lat zaniedbań oraz błędnych decyzji strategicznych, jakie dawno temu podjęło kierownictwo PiS w wymiarze polityki społecznej, gospodarczej i zagranicznej. Obecne nawarstwiające się problemy władzy to jedynie rezultat błędnej strategii.

fot: twitter @MorawieckiM

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/pis-mentalnie-ugrzazl-w-2015-roku/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć